

WSPOMNIENIA JÓZEFA CICHOCKIEGO

Biblioteka Instytutu
Historii UAM
Fc 213



020-000213-00-0

58

Wspomnienia Józefa Cichockiego

wolnego strzelca kaliskiego z lat 1830 — 31

KALISZ 1933

KALISKI ODDZIAŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ KSIĄŻKI



ODBITKA Z „ZIEMI KALISKIEJ” ROK 1931, ZESZYT 4 — 12
I ROK 1932, ZESZYT 1 i 2, WYTŁOCZONA W DRUKARNI
WYDAWNICZEJ W KALISZU, W 100 EGZEMPLARZACH.



~~L. inw. 1382.~~

L iteratura pamiętnikarska, odnosząca się do dziejów powstania listopadowego, jest b. wielka. Wspomnienia te w większej lub mniejszej mierze ujmują zagadnienia ogólne, oraz przeżycia osobiste danego autora. Publikowane przez nas pamiętniki mają zakres b. wąski. Są to wspomnienia człowieka prostego, który z zapałem poszedł do powstania, ale niewiele widział poza działaniem własnej kompanji. Jednakże właśnie z tego powodu pamiętnik ten jest ciekawy, bo mamy przed sobą bezpośrednio przeżycia żołnierza, a później przymusowego emigranta, ukrywającego się przed poborem do wojska rosyjskiego. Dobrze oddaje pamiętnik nastroje społeczeństwa i stosunek do wojska np. podczas wyprawy na Litwę, oraz po powstaniu do ukrywających się uczestników. Dlatego też oddajemy dziś ten pamiętnik do rąk czytelników, sądząc, iż opisane przeżycia Cichockiego dobrze odmalują stosunki panujące w Kaliskiem przed stu laty, oraz udział Kaliszian w wyprawie na Litwę.

Autor pamiętnika urodzony był około roku 1810, skoro pisze, iż w czasie wybuchu powstania liczył 20 lat. Rodzice jego aczkolwiek na wsi mieszkający byli pochodzenia mieszczańskiego, ojciec rodem z Sieradza, matka z Grabowa. Ojciec był rzemieślnikiem i to dość zmyślnym, co również po nim syn odziedziczył. Nauczywszy się u miejscowego organisty w parafji Wojków początków polskiego i łaciny, poszedł w termin do majstra szewckiego, u którego odbywszy praktykę otworzył we wsi rodzinnej własny warsztat. Nie trwało to jednak długo, za protekcją brata, który był ekonomem w dobrach ks. Zajęczka w Opatówku, otrzymał zajęcie w tamtejszej fabryce sukna. W 1830 r. w czasie poboru do wojska, aczkolwiek wybrany, zwolniony został jako nadliczbowy i powrócił do zajęcia w Opatówku. Wyrwało Cichockiego z tego ośrodka powstanie listopadowe. Wstąpiwszy do kompanji wolnych strzelców odbył z nią wypra-

wę na Litwę. Po upadku powstania ukrywał się przed poborem przymusowym do armji rosyjskiej, przekradł się za kordon pruski i około 1836 r. przyjął tamtejsze poddaństwo. Następnie ożenił się, osiedlił w Ostrowie, gdzie założył sklep kolonjalny i pracował nad rozwojem handlu polskiego. W 1863 r. był więziony za pomoc udzielaną powstaniu, w którym syn brał czynny udział. Zmarł w 1884 r. w Ostrowie. W roku 1931 mieszkańcy Ostrowa wystawili mu pomnik, jako weteranowi wojny 1831 r., w setną rocznicę powstania.

Pamiętniki swoje spisywał Cichocki, jak wynika z tekstu, około 1850 r. Są one obecnie w posiadaniu prof. Un. Pozn. dr. Józefa Kostrzewskiego, który po stylistycznej przeróbce podał je do naszego czasopisma. Przypisy do tekstu zostały dodane przez Redakcję.

Redakcja.

I.

POCZĄTEK POWSTANIA

Gdy powstanie wybuchło, miałem lat 20 i pracowałem w wielkiej fabryce sukna, należącej do księcia Zajęczka, w Opatówku pod Kaliszem. Z miejsca swego byłem zadowolony, bo pracę miałem nietrudną, a zapłata za nią była dobra. Nie długo jednak trwał ten stan spokojnej pracy, nadszedł bowiem 29. listopada 1830 roku, dzień wybuchu powstania w Warszawie, a w kilka dni potem doszła wieść o tem i do nas, do Opatówka.

Wychodziliśmy właśnie w południe z fabryki, wtem widzimy rozruch w mieście, słyszymy wołanie zewsząd po ulicach, że w Warszawie rewolucja i widzimy, jak zaczynają zrywać dwugłowe orły carskie, a na ich miejsce przybijają jednogłowe polskie. Do pracy nie poszliśmy już odtąd, bo zarząd fabryki rozpuścił robotników, przeznaczając ich do służenia w wojsku polskim. Z kilku kolegami wynajęliśmy wozy, które zawiozły nas do Kalisza i tam zapisaliśmy się do tworzącego się wówczas pułku wolnych strzelców kaliskich. Przyjęto nas do pierwszej kompanji. Podoficerem moim był późniejszy porucznik Stanisław Pągowski, a kapitanem Kosiński¹⁾, bezręki.

W Kaliszu zabawiliśmy przez dłuższy czas²⁾, ucząc się obrotów wojskowych i strzegąc granicy pruskiej, i dopiero na początku postu wyruszyliśmy z Kalisza i pomaszzerowaliśmy przez Sieradz, Zduńską Wolę, Łask, Łęczycę aż do Wisły, przez którą przeprawiliśmy się na promach w oko-

¹⁾ Antoni Kosiński, ppr. korpusu kadetów w Kaliszu, awansował w powstaniu na kapitana.

²⁾ Przez krótki czas byli strzelcy odesłani do Błaszek na kwaterunek dla łatwiejszego wyżywienia,

licy Płocka. Tymczasem pozostaliśmy w Płockiem i przyłączono nas do korpusu generała Umińskiego, który to na wieść o powstaniu uciekł z Głogowy i przedostawszy się z niebezpieczeństwem życia przez granicę pruską, przybył do Warszawy, gdzie ofiarowano mu dowództwo nad lewym skrzydłem armji.

W boju byłem pod Umińskim w małych utarczkach pod Różanami i Wyszkowem³⁾, a później walczyłem pod dowództwem Skrzyneckiego pod Ostrołęką. Po bitwie tej przeznaczono nam pod dowództwem Dembińskiego, wyruszyć w Augustowskie, na pomoc Giełgudowi, z którym mieliśmy iść na Litwę. Spotkaliśmy się z nim na połowie drogi pomiędzy Łomżą a Nowogrodem. Mając liczebną przewagę nad nieprzyjacielem, uderzył Giełgud na Rajgród, dokąd cofnął się generał moskiewski Sacken. Mimo że miasto było obwarowane, Moskale opuścili zaraz Rajgród, zostawiając małą tylko liczbę wojska ku jego obronie. Spotkaliśmy się z nim i odnieśliśmy świetne zwycięstwo, bo Moskale uciekli w rozsypce, a około 1000 piechoty wzięliśmy do niewoli⁴⁾. Rozpoczęliśmy potem pościg nieprzyjaciół na najętych w tym celu podwodach, lecz ponieważ zabraliśmy się do tego dość późno, nie mogliśmy ich już dogonić. Konie nasze biedne bardzo się pomęczyły, tak, że całe były pianą okryte, a u wielu wozów osie, które były drewniane, pozapałały się, trzeba więc było pościgu zaprzestać. Chcieliśmy ich potem dogonić przy przejściu przez Niemen, który przepływa blisko Kowna, lecz gdyśmy dotarli do rzeki, Moskale już byli na drugiej stronie.

Mieszkańcy Kowna wysłali po nas wielkie promy, na których przewieźli nas przez Niemen, rzekę prawie tak wielką jak Wisła i bystro płynącą. Obywatele Kowna są to z pochodzenia Litwini, lecz dobrzy Polacy. Poubierali się w nasze polskie stroje narodowe i wyszli ku nam, na powitanie uchylając czapek, wywijając chustkami i wołając: „Witajcie, mężni bracia Polacy!” Kramy, składy i apteki w mieście pootwierali dla nas i co każdemu było potrzebne, kazali brać bez zapłaty. Na środek rynku około ratusza naznosili jadła i napojów i cieszyli się z nami jak bracia.

Później przybył też do Kowna oddział powstańców pod dowództwem dwóch pań litewskich⁵⁾. Powstańcy ci nie byli umundurowani, lecz odziani w zwykły swój ubiór codzienny. Przywiedli oni ze sobą wielu Moskali zabranych w niewolę, z których my żartowaliśmy (bo były to tęgie chłopcy), mówiąc: „Czemuście się pozwolili zabrać do niewoli takim powstańcom?“, na co nam odpowiedzieli: „To Boh wojuje, szto diełał?“, t. zn. „Co robić?“

³⁾ Raporta współczesne chwala zachowanie się celnych strzelców kaliskich w boju. Porównaj: Janusz Staszewski, Województwo kaliskie w roku 1830—31, Turek 1926, str. 103.

⁴⁾ 29/V 1831.

⁵⁾ Zapewne autor ma na myśli Platerównę.

II.

NA LITWIE. UPADEK POWSTANIA.

Na drugi dzień rano wyruszyliśmy z Kowna⁶⁾ w drogę ku Wilnu, bo oddział nasz, który wzrósł już tymczasem do 1500 ludzi, dostał nakaz od Giełguda maszerować ku Wilnu. Wogóle zaczęto wtedy ściągać wojska pod Wilno, aby miasto to zdobyć. W Kownie pozostali tylko powstańcy litewscy, którzy mieli się poubierać w mundury wojskowe. Po drodze przechodziliśmy koło wielkiego klasztoru Kamedułów. Była to wspaniała budowa, z samych ciosanych kamieni wzniesiona, a otoczona wysokim murem. Był tam też ogród bardzo piękny i kościół wielki z wieżą ponad środkiem. Zakonnicy tutejsi nie jedzą nigdy mięsa, żywią się jedynie rybami, jarzynami i potrawami mącznymi. Mąkę mieli w własnym młynie, poruszonym zapomocą wielkiego koła, w którym koń stąpa jakby po schodach, obracając w ten sposób młyn cały. Nie mogli nam jednak nic dać do jedzenia, choć byliby dali z wielką radością, bo wszystko zabrali im Moskale. Sami też ukryli się i tylko dwóch zakonników pokazało się nam i wskazali nam piwnice w pewnej odległości od klasztoru, mówiąc, że jest tam schowana kapusta. Poszliśmy więc z nimi, pozabieraliśmy z sobą na płaszczach, co było i posilaliśmy się. Biedni zakonnicy ze łzami w oczach opowiadali nam, że Moskale, idąc do Polski, nakazali im się modlić o zwycięstwo nad nami, a teraz, gdy wszędzie ponosili klęski i musieli uciekać przed Polakami, pomścili się na zakonnikach, zabierając im za karę, że się źle modlili, cały dobytek.

Nie na księżach samych jednakże mścili się Moskale, bo nieraz spotykaliśmy włościan, wychodzących z lasów, którzy płakali przed nami, że nie mają nam co dać, bo wszystko Moskale pozabierali lub popalili. Często też spotykaliśmy zboże na pniu spalone i zgliszcza domostw jeszcze tlejące. W jednej miejscowości mówiono nam też, że pewnego księdza schwytanego Moskałe zakopali w ziemi po szyję, wkładając mu na głowę naczynie napełnione smołą, którą podpalili, tak, że ksiądz w okropnych mękach zginął. Nie wiem, czy to prawda, bom tego nie widział, ale bardzo to możliwe, bo wobec Polaków Moskal gotów do największych okrucieństw. Czyż nie mało naszych rodaków rozstrzelali, powiesili lub zamęczyli w więzieniach? Toć i teraz⁷⁾ do bezbronnych unitów strzelają, bagnetami ich kłują i rąbią pałaszami, wpędzając ich do cerkwi swych prawosławnych, aby zaparli się wiary katolickiej, a przyjęli schizmę. Lecz wracam do marszu pod Wilno.

⁶⁾ 12.VI 1831.

⁷⁾ Tj. około 1850, w którym autor spisał swe wspomnienia.

Po drodze lud litewski przyjmował nas z wielką radością i cieszył się, widząc wojsko polskie po tak długim czasie. Wynoszono nam ze wsząd, gdzie Moskale nie dotarli i nie poniszczyli wszystkiego, żywność na drogi, ryby suszone, mięso w kwasie gotowane, słoninę, wódkę w cebrach lub beczkach, abyśmy się posilili a bili dobrze Moskali. Cóż, kiedy nie było prawie czasu do jedzenia, bo marsz nasz był spieszny, aby jak najprędzej stanąć pod Wilnem. Ledwo jednemu i drugiemu udało się podejść w marszu do stojącego naczynia i chwycić kawałek słoniny. Mimo głodu nie traciliśmy jednak humoru, bo dotąd zawsze byliśmy górą, począwszy od Różan aż pod Wilno. Tu jednakże nagle wszystko się zmieniło. Już gdyśmy przeszli przez Troki⁸⁾ zbliżali się do Wilna, smutno nam było wszystkim, przecucia jakieś nas dręczyły i zwątpienie malowało się na twarzach naszych.

W rzeczywistości też wyprawa nasza smutnie się skończyła. Oddziału powstańców litewskich Matuszewicza, z którym miał się nasz pułkownik Zaliwski połączyć, nie spotkaliśmy wcale, a atak nasz na Wilno nie powiódł się⁹⁾. Gdy przyszło do bitwy pod miastem, poszliśmy do boju ochotczo i z odwagą i gdy wiatr dym rozwiął ujrzeliśmy, jak lewe skrzydło wojsk naszych pod dowództwem Rolanda docierało już do miasta, wtem odezwały się trąbki strzeleckie, dając nakaz do odwrotu. Z wielkim pośpiechem zaczęliśmy się cofać, wracając do Trok, skąd niedawno wyruszyliśmy, aby tu czekać na dalsze rozkazy. Niestety, żadnych rozkazów nie otrzymaliśmy¹⁰⁾, bo komunikacja między naszym oddziałem a główną armją Giełguda została przerwana przez Moskali i oddział nasz był odcięty. Oficerowie nasi zwątpili wówczas o wszystkim, kazali nam broń w kozły poustawić, naboje powykładać na ziemię, a nam samym polecieli się rozjeść. Na te słowa strach i smutek zapanował wśród nas, a oficerowie zaczęli się już przebierać w odzież chłopską, aby łatwiej przekraść się przez obszar, opanowany przez Moskali. Wtem przychodzi do nas pułkownik Zaliwski i przemawia do nas w następujące słowa: „Bracia, miałbym was na swoim sumieniu i zdałbym rachunek za was przed Bogiem, gdybym was miał dobrowolnie opuścić. Poprowadzę was dalej ku Warszawie!” Kazał nam więc zbierać naboje i broń i wyruszyliśmy z miasta. Uszedłszy ćwierć mili, stanęliśmy i znów powtórzyło się składanie broni i ładunków. Niedługo jednak czekaliśmy, bo niebawem powrócił nasz Puł-

⁸⁾ 17/VI 1831.

⁹⁾ 19/VI 1830.

¹⁰⁾ por. pracę Stanisława Płoskiego. Działalność Zaliwskiego w wojnie polsko-rosyjskiej 1831 roku. (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 25-letniej działalności naukowej prof. Marcelego Handelsmana) Warszawa 1929. str. 364 not.

kownik z człowiekiem dobrze znającym okolicę i wyruszyliśmy w dalszy pochód. Przewodnik nasz prowadził nas przez wielkie bory ukrytymi ścieżkami, tak że mało tylko wiosek spotykaliśmy po drodze i jedno tylko miasteczko, zwane Janów, na przestrzeni od Troków aż do Białegostoku. Zbliżając się do Janowa, przygotowywaliśmy się do spotkania z Moskalami, stanowiącymi załogę miejscową. Moskale jednak, dowiedziawszy się o zbliżaniu się powstańców, uciekli, nie czekając na nas i zostawiając znaczne łupy. Z tego powodu ludność Janowa witała nas jako zwycięzców, nie wiedząc, że znajdujemy się w odwrocie. Przyjmowano nas z wielką radością, proboszcz miejscowy wyszedł z procesją naprzeciw nas, wprowadził do kościoła i powitał przemową, a nawet żydzi wyszli do nas ze swym baldachimem, pod którym śluby biorą i ze świętościami swymi z bóżnicy, przynosząc kilka butelek wina dla oficerów. Na drugi dzień wyszliśmy z miasta i pod borem zaczęliśmy rozpalać ognie i śniadanie gotować, wtem od strony miasta widety nasze zaczynają strzelać i już po naszym śniadaniu. Wodę, co ledwo się zagrzała, trzeba było powylewać na ziemię i wyruszyć na nowo w pochód przez bory. Maszerowaliśmy trudno dostępnymi drogami, co utrudniało Moskałom pościg oraz stwierdzenie, z jak znaczną siłą mieli do czynienia. Co się dzieć musiało w Janowie, gdy tam Moskale wrócili, to sobie każdy może wystawić, kto zna postępowanie Moskali. Niejednego dowiedzieliśmy się zresztą od księdza i kilku innych osób, które uciekły z Janowa w obawie przed zemstą Moskali i dogonili nas w drodze.

Cały ten marsz z pod Wilna aż do Białegostoku nie był zbyt uciążliwy, bo nam Litwini, jak mogli, pomagali, dostarczając nam żywności i przeprowadzając nas przez miejsca takie, gdzie stały niewielkie siły moskiewskie, abyśmy nie wpadli w ich ręce. Przybywało nam też po drodze ochotników ze wsi, przez które przechodziliśmy i niejeden wołał do nas „Poczekaj, braciszku, na mnie, pójdę się tylko pożegnać, bo ja przystaję do Polaków”. Wielu nawet jeźdźców przyłączyło się do nas, ale niewielka stąd była pomoc dla nas, bo nie mieliśmy ani mundurów zapasowych ani broni, ani naboży dla nich. O ile poznaliśmy ludność miejscową, jest ona bardzo przywiązana do Polski i gdyby w dzisiejszych czasach zobaczyła ona wojska nasze, toby się tłumnie garnęła w szeregi polskie. W dalszym ciągu, przekraczając gościniec idący z Łomży do Białegostoku (a było to w boru niedaleko od ostatniego miasta), natknęliśmy się na budynek pocztowy, w którym przeprowadziliśmy rewizję, poczem pomaszerowaliśmy dalej wąską drożyną leśną, a wieczorem rozłożyliśmy się obozem na małej polance. Na drugi dzień mieliśmy postawić most na rzece Sokółdzie blisko Supraśli, przeprowić się po nim na drugą stronę, aby tam połączyć się

z oddziałem powstańców litewskich w puszczy białowieskiej. Niestety stało się inaczej. Złożywszy w kozły broń i posiliwszy się, czem kto mógł, pokładliśmy się na ziemi z tornistrem pod głowami i usnęliśmy, oficerowie zaś nasi poszli na nocleg do karczmy, stojącej w pobliżu nad rzeką. Rano, skoro się rozwidniło¹¹⁾, zaczynamy przygotowania do stawiania mostu, wtem słyszymy strzały naszych płacówek, które spostrzegły zbliżających się moskali. Rychło zauważyliśmy, że jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni i mamy jedną tylko drogę do odwrotu: poprzez rzekę. Do walki nie byliśmy zdolni, bo byliśmy zbyt wycieńczeni długimi marszami, mającymi na celu oddalenie się od wroga, tym czasem weszliśmy mu nieledwie w paszczę. Winę ponosi tu i nieostrożność przewodników i niedbalstwo dowództwa, które zamiast kazać nam się przeprawić jeszcze wieczorem przez rzekę, gdzie bylibyśmy bezpieczni, kazali nam czekać do rana na budowę mostu. Przejście wieczorem, gdy nie byliśmy nagabywani przez wroga, nie byłoby trudnem, bo leżała na poprzek rzeki potężna olcha, czy to celowo położona dla przechodzenia czy też wyrwiona przez wiatr, a niedaleko stąd znajdował się bród w rzece, obecnie jednak w ogniu wroga, ukrytego za drzewami, gdy sami zebrani na polanie, stanowiliśmy cel znakomity, przejście było ogromnie utrudnione. To też wielu z nas poległo, duża część utonęła w rzece przy przechodzeniu na drugą stronę lub w bagnach, rozciągających się poza nią, a znaczna liczba nie zdołała się przedostać i wzięta została do niewoli. Ocalało nas najwyżej 80, między innymi pułkownik Zaliwski i kilku oficerów¹²⁾. Mieli oni już przygotowane dla siebie ubranie włościańskie i trzewiki z lyka i przebrawszy się po chłopsku pożegnali nas, oznajmiając, że będą się starali przedrzeć do Warszawy i radząc i nam, abyśmy udali się ich śladem.

Zostaliśmy więc sami bez dowódców w wielkiej puszczy, na błotach, nie znając drogi i nie wiedząc gdzie się obrócić. Po naradzie postanowiliśmy iść gęsiego prosto przed siebie, nie szukając drogi, bo pewniejsi byliśmy w lesie gęstym niż na drodze i po całodziennym marszu zbliżyliśmy się pod wieczór do wsi Topolna. Nie śmiąc wychylić się z lasu, zaczęliśmy szukać żywności, pożywiając się jagodami czarnemi, tornistry bowiem z żywnością i płaszcze zwinięte porzucaliśmy wszyscy w czasie przeprawy przez rzekę i błota, bo nam zbyt ciężyły. We wsi spostrzeżono nas dopiero następnego dnia rano i dano znać do dworu. Właścicielka jego była zacna Polka, mająca męża i syna w powstaniu. Ulitowawszy się nad nami,

¹¹⁾ 7/VII 1831.

¹²⁾ por. pracę Płoskiego op. cit. str. 365 nast. Napadł na Zaliwskiego, plk. Maske z oddziałem piechoty, 200 kozakami i 1 działem. Zaliwski miał około 600 ludzi i 1 działo. 170 i 8 oficerów z naszej strony dostało się do niewoli rosyjskiej.

przysłała nam potajemnie żywności i ubrania chłopskie zapewniła nam pomoc w innych dworach, które mieliśmy mijać po drodze i wyszukała nam też przewodnika, znającego dokładnie okolice, który po kilkudniowym pobycie naszym w Topolnie prowadził nas borami i polami, omijając niebezpieczne miejsca. We dnie nocowaliśmy zwykle na umówionem z góry miejscu, czy to na spichrzu czy w domu lub lesie, a w nocy maszerowaliśmy dalej aż do ostatniego postoju przy ujściu Narwi do Bugu. Gdy zbliżaliśmy się do wioski, leżącej w widłach obu rzek, zaczynało już dzień. Wyszedszy z boru przeszliśmy przez pole i weszliśmy w gęstwinę utworzoną z krzaków, które powyrastały z pni ściętych olch oraz jeżyn. Tu kazał nam się ukryć nasz przewodnik, a sam poszedł na zwiady do wsi, gdzie miał kuma, aby dowiedzieć się, czy znajduje się tam jeszcze oddział wojska rosyjskiego, który zwykle rano wyjeżdżał ze wsi na objazd okolicy. Gromadka nasza liczyła już tylko 20 osób, bo przewodnik nasz nie chciał się podjąć prowadzenia większej liczby, obawiając się, że gdy nas więcej pójdzie, to stąpanie głośniejsze po ziemi może nas zdradzić. Nie można mu zresztą brać za złe jego ostrożności, bo Moskale wszędzie po wsiach poprzyklepiali ogłoszenia, wyznaczające po 3 ruble nagrody za każdego schwytanego powstańca a grożące wszystkim, którzyby przechowywali powstańców, zesłaniem na Sybir i spaleniem mieszkania. Ze strony naszego przewodnika było to więc wielkim poświęceniem, że podjął się nas prowadzić i nie można się dziwić, że zachowywał wszelką ostrożność, bo narażał on własne życie. Dwudziątka nasza powcisnęła się pod krze jeżynowe i ukryła w gęstej olszynie, oczekując na powrót przewodnika. Gdy tenże długo nie wracał, zaczęliśmy się w końcu niecierpliwieć, bo rozwidniło się już zupełnie, a my tym czasem siedzimy w środku pola, gdzie łatwo mogli nas Moskale spostrzec i pochwytać.

Wtem przybiega nagle zdyszany przewodnik nasz i woła: „Wstajcie i spieszcie się, bo żołnierze wyjeżdżają na patrol. Idźcie prosto, gdzie te płoty i owa chałupa stoi, a od tej chałupy prosto do rzeki i za rzekę. Ja tam iść nie mogę, bo mogliby mnie schwycić i byłbym nieszczęśliwy”. Zerwaliśmy się więc na równe nogi i pobiegliśmy w wskazanym kierunku, przeskakując przez płoty i rowy, gdy wtem wpadając na drogę, ku największemu przerażeniu ujrzeliśmy tam Moskali na koniach. Każdy w wielkim strachu ucieka w swoją stronę i kryje się, gdzie może. Sam chciałem się skryć w stodole jednego chłopca, ale ten nie chciał mnie wpuścić, bo by go, jak mówił, na Sybir zesłano, pobiegłem więc dalej i skryłem się pod okap przyciesi jakiegoś śpichrza. Przycies na stronie południowej była oparta na pniach dębowych, z północnej zaś, leżącej wyżej, była wciśnięta w ziemię, zostawało jednak tyle miejsca, że można się było skryć

pod nią. Wcisnąłem się więc pod przycieś północną, a dla pewniejszego schronienia wygrzebałem sobie łopatką końską, znaną w pobliżu, wgłębienie pod przycienią, w którym się położyłem, tak że mnie teraz nikt dojrzeć nie mógł, choćby nawet tam zaglądał. Żeby zatrzeć wszelkie ślady za sobą, świeżą ziemię popruszyłem suchą z kurzem pierzem, którego w pobliżu dużo leżało na ziemi, bo dużo tu kur w dzień siadywało. Leżałem tak długo przełknięty i dręczony rozmaitemi myślami, nie słysząc jednak przez czas dłuższy żadnego hałasu, odważyłem wychylić się z pod przyciesi wtem ujrzałem kobietę wychodzącą z chałupy i sypiącą kurom zboże. Wysunąłem się więc z mej kryjówki i zawołałem za ową kobietą, lecz ona wróciła do chałupy. Po chwili jednak wróciła w towarzystwie drugiej kobiety, niosąc mi kawałek chleba z słoniną. Uściskałem je za nogi, dziękując za żywność i prosząc, aby mnie nie zdradziły przed Moskalami lecz powiedziały, kiedy żołnierze wyjadą na patrol, abym mógł przejść na drugą stronę rzeki. Po chwili jedna z kobiet przychodzi do mnie i powiada: „Wychodźcie, bo żołnierze wyjechali, a kolegów czterech idzie przez wodę”. Podziękowawszy jej jeszcze raz, wybrałem się w ślad za kolegami, lecz nie zobaczyłem żadnego z nich, tylko w ogrodach znalazłem porzucone przez nich torby z żywnością i czapki. Doszedłszy do rzeki, próbowałem przejść na drugą stronę, ale gdy byłem na środku woda sięgała mi aż po brodę, a potem nawet do ust, musiałem się więc cofnąć do brzegu. Tam obejrzawszy się w koło i widząc że mnie nikt nie ściga, odpocząłem trochę i wyszukawszy inne miejsce, gdzie woda sięgała zaledwie do kolan, przeszedłem na drugi brzeg, gdzie rozciągały się rozległe błonia, porośnięte trawą i krzakami. Chcąc złączyć się z kolegami, wołałem i gwizdałem na nich, lecz żaden z nich się nie odezwał. Poszedłem więc dalej wzdłuż rzeki i kierując się śladami świeżymi na trawie pokrytej rosą dogoniłem niebawem mych kolegów, których było tam pięciu; z tych tylko dwóch nas doszło do Warszawy, bo trzech się odłączyło i poszło do domu.

Po drodze spotykaliśmy wielu żołnierzy wracających do stron rodzinnych, i mówiących nam, że nie mamy pociągu do Warszawy, bo wojska wszystkie wyszły z miasta, a Moskale przeszli Wisłę i lada dzień zajmą stolicę, tem więcej, że tam brak żywności. Mimo to jednak poszliśmy dalej, napotykając po drodze liczne ślady spalonych domostw i zniszczonych wsi, aż wreszcie doszliśmy do Pragi, pustej i spalonej całkowicie, tak że tylko mury i kominy gdzieś tam sterczały. Po moście na łodziach zbudowanym przeszliśmy do Warszawy. Na twarzach mieszkańców malował się smutek i przygnębienie, tak że nawet w rozmowy nie chciano się wdawać z nami. Nie popasaliśmy też w Warszawie, lecz podążyliśmy do

obożu znajdującego się między Łowiczem i Rawą. Tam zgłosiliśmy się do dowódcy, który miał nam dać mundury i broń, ale mimo kilkudniowego czekania nie otrzymaliśmy nietylko broni i umundurowania lecz nawet żywności nam nie dano, i tylko z litości niektórzy żołnierze dzielili się z nami, choć sami mieli niewiele, chyba to, co sami zarekwirowali. Wielkie już wówczas było zwątpienie tak wśród żołnierzy jak u oficerów. Nie było już tego nastroju w wojsku, co na początku, gdzie zawsze odnosiliśmy zwycięstwa. Smutne były rozmowy żołnierzy i twarze posępne, a my sami czuliśmy się obcymi wśród nich, a przeto przykro nam było prosić ich o pożywienie, którego oni sami mieli niewiele. To też zdecydowaliśmy się wrócić do domu. Po drodze spotkaliśmy wojska polskie, wracające z pod Kalisza po przegranej tamże bitwie. I tu żołnierze byli smutni i zagniewani, bo im w Zduńskiej Woli Niemcy zaszli drogę uzbrojeni w strzelby, ale im nasi przetrzepali nieźle skórę i poszli dalej w kierunku Częstochowy. Wróciwszy do domu, pozostałem tam, a kolega mój, wypocząwszy nieco, poszedł do W. Księstwa Poznańskiego, skąd pochodził i gdzie mieszkali jego rodzice. W domu u mnie nie miano już żadnej nadziei w pomyślny wynik powstania. Dowiedziałem się tam, że w tenże dzień, w którym wypadła nieszczęśliwa bitwa pod Kaliszem, poddała się Warszawa, co zadecydowało o upadku powstania.

III.

PO POWSTANIU

Do niepokoju o los kraju dołączyły się teraz obawy o własną przyszłość. Byliśmy pewni, że Moskale powróciwszy w nasze strony, zabiorą mnie i braci do wojska. Tak się też stało istotnie, bo po zgnieceniu powstania Moskale wydali rozkaz stawienia się całej młodzieży męskiej do miejsc urodzenia lub ostatniego pobytu, gdzie miała się odbyć branka do wojska. Uwolnić się od służby wojskowej można było tylko przez ożenek, tak samo zwalniano jednego z synów, niezbędnego do pomocy w gospodarstwie i wyżywienia rodziny. Ja z tych przywilejów skorzystać nie mogłem, bo byłem najmłodszym z rodzeństwa, a rodzice nie posiadali gospodarstwa. Uczestniczyłem zresztą jako ochotnik w powstaniu i należałem do wolnych strzelców, których Moskale szczególnie nienawidzili, nie mogłem się więc spodziewać żadnych względów. Postanowiłem wprawdzie ożenić się, ale zwlekałem z tem, bośmy się oglądali jeszcze na pomoc Francji i liczyli na wznowienie powstania, dlatego też spóźniłem się z tym zamiarem. Dałem wprawdzie na zapowiedzi z młodą dziewczyną, nie mającą jeszcze 16 lat, lecz ksiądz nie dał nam ślubu ze względu na zbyt młody wiek narzeczonej

i kazał nam czekać. Nie mogłem też ożenić się z inną, bo za trzy dni był popielec, a zaraz po Wielkiejnocy miałem stawać do popisu wojskowego.

W czasie popisu, po zbadaniu mnie przez komisarza i lekarza zauważyłem, że mnie uznano za zdatnego do służby i że mnie niewątpliwie odrązu wcielą w szeregi, postanowiłem więc użyć zawczasu już obmyślanego wykrętu, aby się jakoś uwolnić od służby wojskowej. Gdy zatem po mnie drugiego z kolei badano, poprosiłem sołtysa, który nas dozorował, aby mi pozwolił na chwilę zejść do karczmy, gdzie byliśmy rano, abym mógł odebrać resztę ze zlotówki, którą mi zapomniano wydać. Poszedłem więc niby do karczmy, oddalonej o dobre staje, a w rzeczywistości wstąpiłem do domu mej narzeczonej, aby się z nią pożegnać i oświadczyć, że uciekam, aby mnie nie wzięto do wojska. Pobiegnę też do rodziców, pożegnałem się z nimi, zabierając z domu metrykę i co sił uciekałem do boru.

Na skraju boru obejrzałem się i zobaczywszy zdaleka ścigających mnie, pokłoniłem im się pięknie i poszedłem w głąb boru. Tuż byłem już pewien, że mnie nie schwytają, bo bór był pięć mil długi a trzy szeroki, nie miałem tylko pożywienia, ale i to się znalazło.

Przez pierwsze dwa dni nic nie jadłem, bo obawiałem się zbliżyć do domu rodziców, będąc pewnym, że jest on śledzony. Jak się później dowiedziałem, tak też było istotnie. Sołtysowi, który mi pozwolił oddać się, zagrożono ciężką karą, jeżeli mnie nie dostawi z powrotem.

W drugą noc poszedłem jednak do sąsiedniej wsi Włocina, gdzie miałem kuma i zapukałem do okna. Wpuścił mnie, ugościł i ostrzegł, że dom rodziców moich pilnuje co noc pięciu ludzi, żebym więc nie zbliżał się do niego. Na drogę dał mi bochenek chleba, miałem więc zapewnioną żywność na kilka dni.

Odżywianie się moje w tych dniach przypominało mi post o chlebie i wodzie, o którym mi mówili ludzie, co byli więzieni przez Moskali. Gdybym tylko chleba miał pod dostatkiem, tobym i cały rok chętnie był tak pościł, bo wody mi nie brakowało. Tak bardzo mi ten chleb wówczas smakował! Starłem się go jaknajbardziej oszczędzać, aby mi starczył jaknajdłużej, ale wreszcie się skończył i nie miałem już co jeść.

Przechodząc jednak ponad drogą, zobaczyłem dziada nieznanego z sakwami i pochwaliwszy Pana Boga, poprosiłem go, aby mi sprzedał chleb, jaki miał przy sobie, nie mówiąc nikomu o tem, że mnie tu spotkał. Byłbym chętnie kupił odeń i kaszę i mąkę, które posiadał, gdybym miał w co ją zabrać i w czym ugotować. Byłem więc znów na kilka dni zaopatrzony w żywność, ale i po zjedzeniu chleba na nowo głód zajął mi w oczy.

Pomyślałem sobie, że tak długo trwać nie może i postanowiłem iść do wsi Wróblewa, oddalonej o przeszło 2 mile, aby tam poszukać jakiej pracy.

Ponieważ w młodości wyuczyłem się szewstwa, zgłosiłem się jako czeladnik do szewca tamtejszego, który robił ładne i porządne obuwie dla dworów i księży w okolicy. Zostałem przyjęty i pracowałem przez kilka tygodni, ale w końcu zaczęto mnie podejrzewać, że jestem ścigany, a że i sam obawiałem się, aby mnie nie schwytano, poszedłem więc dalej do innej wsi, oddalonej o półtorej mili, gdzie w dworze miałem znajomego, będącego tam kucharzem. Temu zwierzyłem się, w jakim znajduję się położeniu i zostałem przezeń mile przyjęty. Poszliśmy potem razem do miasteczka Warty, gdzie kupiliśmy skóry i wszystkich przyborów do szewstwa potrzebnych i wtedy powróciwszy do dworu, porobiłem buty jemu, trzewiki żonie i posporządzałem im stare obuwie, nie spiesząc się zbytnio, aby znów głodem nie przymierać w boru.

Tak przeszło kilka tygodni, w ciągu których zawsze krzepiłem się nadzieją, że lepsze czasy dla mnie nastaną.

Niebawem wybraliśmy się obaj na poszukiwanie miejsca, on za kucharza, ja choćby do jakiej posługi. Znajomy mój, mając świadectwa, łatwo znalazł posadę, ale mnie nikt przyjąć nie chciał, bom nie miał żadnych papierów. Wstąpiłem więc do swego stryja w Szadku, którego nie znałem osobiście, a i on mnie nawzajem. Kucharz, znający go dobrze, przedstawił mnie jemu i opowiedział mu, w jakim znajduję się położeniu. Stryj był dość zamożnym, miał oberżę, rolę i wiatrak, myślałem więc, że mnie przyjmie na kilka dni, albo też wspomógł mnie pieniędzmi, lecz zawiodłem się na nim srodze. Nietylko nic mi nie dał, lecz pozbył się mnie coprędzej, wymawiając się, że u niego często bywają urzędnicy rosyjscy, dlatego zatrzymać mnie nie może. Odszedłem więc z żalem w duszy, że chociaż krewny bliski, nie przyjął mnie i powróciliśmy oboje do domu.

Tu powziąłem myśl powrócenia do owego szewca, u którego poprzednio pracowałem, tem więcej, że mnie nawet prosił, abym przyjął pracę u niego, bo miał dużo zamówień. Pracowałem u niego do jesieni, lecz dłużej pozostać nie mogłem, bo mu zakazano mnie trzymać, ponieważ nie miałem świadectw.

Przez ucznia jednak, który u tego samego mój brat pracował, poznałem się z jego rodzicami i braćmi, którzy w sąsiedniej wsi pracowali przy wydobywaniu żwiru dla budowy szosy. Udałem się więc do nich i odtąd chodziliśmy razem kopać, a w sobotę lub niedzielę dzieliliśmy się zarobkiem.

Tak spędziłem czas aż do świąt Bożego Narodzenia, poczem musiałem

pracę przerwać, bo i tam zażądano odemnie — przeczuwając może, kim jestem — abym przyniósł świadectwo, grożąc, że inaczej wydalą mnie z pracy.

W niedzielę pewną wyszedłem więc niby po zaświadczenie i udałem się do domu rodziców, którego już tymczasem pilnować przestano, bo przez pół roku nie zauważono, abym przychodził pokryjomu do domu.

Gdy zbliżałem się wieczorem do wsi rodzinnej, stary nasz pies, bardzo do mnie przywiązany, wyszedł ku mnie może na półtora staja, skomląc i łasząc mi się z radości. Pogłaskałem wiernego sługę i razem przyszedliśmy do domu. Zastałem tam jednego z moich braci, którego najwięcej kochałem, matkę, siostrę najmłodszą, wreszcie dobrego mego kolegę z jego żoną, którzy wówczas u matki mieszkali. Wszyscy ucieszyli się ogromnie z mego przybycia, a i ja rad byłem niezmiernie z zobaczenia swych najbliższych. Radość moją mąciła jedynie wiadomość o śmierci ojca, który zmarł w czasie mej tułaczki, o czem dowiedziałem się dopiero teraz. W domu opowiadano mi też, że Michał Janik z naszej wsi, który służył w wojsku polskiem regularnem (u szaserów), jest teraz żandarmem.

Postanowiłem wobec tego nie nocować w domu rodziców, lecz iść na nocleg do brata mego, mieszkającego o milę drogi od naszej wsi. Ów kolega mój, co mieszkał u nas, wyszedł pierwszy z domu, idąc do karczmy, a my z bratem zabraliśmy się później i poszliśmy do jego domu. Tam zjadłszy kolację, rozebrałem się i położyłem się spać, ubranie kładąc w porządku przy łóżku, bo to zawsze — jak powiadają — na złodzieju czapka gore.

Ledwo mi się oczy zaczęły zamykać, a tu ktoś puka do okna, wzywając, żeby mu otworzyć. Wystraszony mówię pocichu do brata: „Nie zapalaj światła, tylko wpuść go przez sień, a ja przez komorę ucieknę”. Brat też postąpił według mojej rady, a ja zabieram swe ubranie, otwieram pocichu drzwi od komory i chcę wychodzić na dwór, — tu — czego się nie spodziewałem — stoi trzech chłopów z naszej wsi. Uderzyłem na nich, chcąc uciec, lecz udało im się mnie pochwycić i próbowali mnie obalić na ziemię. Szamocąc się z nimi, powlokłem się z prześladowcami memi kilka kroków od drzwi aż poza tylną ścianę domu, próbując się im wydrzeć z rąk. Potargali już na mnie całą koszulę, tak że już nie mieli mnie za co trzymać, byli też już zmęczeni, tak że za chwilę byłbym im się wyrwał, choć i sam byłem zmęczony, lecz wtedy przybiegł im na pomoc żandarm, który przeszukawszy cały dom i nie znalazłszy nikogo, wyszedł na dwór. Nie będąc jeszcze zmęczony, łatwo wraz z owymi trzema chłopami dał mi radę. Powaliwszy mnie na ziemię, związano mi ręce i nogi i wrzuciono mnie nagiego na wóz, nakrywszy kożuchem.

Widząc, że wszystko stracone i że w ludziach nie mogę już pokładać żadnej nadziei, zaśpiewałem sobie „Kto się w opiekę”. Żandarm szydził ze mnie, mówiąc: „Śpiewaj ty sobie, śpiewaj, teraz my mamy opiekę nad tobą”.

Słyszałem też, jak chłopci rozmawiali z sobą, że gdyby żandarm nie był przybiegł im na pomoc, byłbym się z rąk ich uwolnił, bo już byli bardzo pomęczeni. Dlatego zaś tak szczerze zabrali się do mnie, bo im żandarm zapowiedział, że jeżeli mnie pochwyca, a pozwoli mi umknąć, to pójdą w żołdacy. Zawiózłszy mnie do wsi, złożono mnie związanego w chałupie, składającej się z jednej tylko izby z małym oknem, a przy drzwiach i przy oknie postawiono straż.

Ludzie ze wsi, dowiedziawszy się o mem uwięzieniu, zaczęli się schodzić do mnie, niektórzy żalowali mnie i płakali nad mym losem, słysząc, że mnie tak nagiego przywieziono. Pozwolono mi potem umyć się, bo podczas szamotania się przy uwięzieniu mnie padliśmy wszyscy na ziemię, rozmiękłą i błotnistą wskutek łagodnej zimy, byłem więc bardzo pobrudzony.

Niebawem też nadeszła matka moja ukochana, przynosząc mi koszulę i ubranie, tak że mogłem ubrać się i upodobnić do człowieka.

Rozmaici znajomi naznosili mi jadła i napoju, bom był lubiany we wsi, ale wszystko mnie nie cieszyło, bo mi żal ścisnąć serce, że ci koledzy, z którymi mi niejedną chwilę wesołą przeżyłem, którzy nieraz mawiali, że posłają za mną w największe niebezpieczeństwo, teraz tak mnie męczyli, nie okazali mi litości nademną. Toć mogli mnie byli puścić i powiedzieć, że nie potrafią mnie utrzymać, a byłbym uratowany. Cóż, kiedy tam taki lud ciemny i bojaźliwy, że gdy im jakiś komisarz lub żandarm coś powie, to uważają to za świętą prawdę. Ponieważ im żandarm powiedział, że oni pójdą za mnie w żołdacy, każdy mu wierzył i byłby ojca własnego tak męczył, gdyby mu kazano.

Spisawszy protokół, kazał mnie żandarm znowu wsadzić na wóz i zawieziono mnie pod straż trzech ludzi do Błaszek. O tyle jeszcze był żandarm względny dla mnie, że flintę znalezioną potrzaskał po drodze o kamień i nic nie napisał o tem w protokóle. Uprosil to u niego poczciwi ludziska wiedząc, że będą się ze mną jeszcze gorzej obchodzili, gdyby się wydało, że posiadałem broń. Zanosilo się bowiem wówczas, w początku 1833 r. na nowe powstanie i zawiązywała się już partyzantka, wszystkich zatem, których posądzono o zamiar uczestniczenia w powstaniu, bardzo srogo karano, a wielu z szlachty okolicznej, podejrzanej o udział w przygotowaniach, wywieziono na Sybir, m. i. Grodziskich z Gruszczyca (braci żony śp. Wojciecha Lipskiego z Lewkowa). Odwieziono mnie więc

do Błaszek i odstawiono na ratusz. Tam rozwiązano mnie, lecz założono za to kajdany na ręce i nogi, a potem pod eskortą dwóch kozaków zawieziono mnie do Kalisza.

Po drodze rozmyślałem, jakby to najlepiej umknąć i mając pieniądze, częstowałem kozaków w karczmach, gdzie stawaliśmy na popas, lecz nie udało mi się to. Zresztą żał mi ich było, żeby ich za ucieczkę mą kara nie spotkała, bo byli to niezli ludzie i po ludzku się ze mną obchodzili.

Gdyśmy przyjechali o północy na rogatkę kaliską i strażnik otwierający rogatkę, zobaczył mnie okutego w kajdany i pod strażą kozaków, zawołał: „O ty nieszczęśliwy człowieku, kiedy cię o tej godzinie wiozą!” Przeraziły mnie te słowa, ale zdałem się na wolę Boską.

W mieście zawieziono mnie na odwach wojskowy, a rano przeprowadzono do jakiejś ciemnej nory. Około południa dodano mi weterana z polskich pułków, jako straż i kazano mnie odprowadzić do budynku, w którym przed powstaniem mieścił się korpus kadetów, obecnie zaś znajdował się lazaret i odwach, dokąd odstawiono wszystkich ukrywających się przed wojskiem. Gdy się uzbierało takich uciekinierów dwudziestu lub więcej ubierano ich w mundury i wywożono w głąb Rosji, aż na Kaukaz, w kraj Czerkiesów. I ja już miałem przygotowany tornister, buty i koszulę i niebawem miałem wyruszyć w drogę wraz z całą partją, lecz wtedy porozumieliśmy się z jednym kolegą, Ignacym Gretą, pochodzącym z W. Ks. Poznańskiego i postanowiliśmy udawać chorych. Już od dwóch dni umyślnie nic nie jedliśmy, tylko paliliśmy fajkę, a nie będąc do tego przyzwyczajeni, wyglądaliśmy rzeczywiście, jak chorzy. Doradził nam tego stary żołnierz, podoficer, który tam jeszcze został po kadetach i wydawał nam żywność. Osobno, w cztery oczy, powiedział mi ów pocziwiec: Nie wiem czy wam się to uda, bo tu już byli tacy chorzy, a postawiono im straż przy łózkach, dopóki, albo nie wyzdrowieli, albo nie umarli, bo obawiano się, żeby nie uciekli, ale spróbujcie!

Wytrwaliśmy przy naszym postanowieniu i gdy na trzeci dzień rano kazano wszystkim gotować się do wymarszu, wszyscy zdrowi wyszli, my dwaj zaś zostaliśmy na pryczach jako chorzy. Przyszedł niebawem oficer i widząc nas leżących, zbliżył się do mnie i zapytał, czemu nie poszliśmy z innymi. Odpowiedziałem mu, że jestem chory i to samo oświadczył mój kolega wobec czego oficer kazał nas przenieść do lazaretu. Dzięki Bogu, pomyśleliśmy sobie, tego sobie tylko życzymy!

Niebawem zabrano przygotowane dla nas mundury i odesłano nas do lazaretu, znajdującego się na drugim piętrze budynku. Tam dostaliśmy świeżą bieliznę, skarpetki, pantofle, płaszcz i czapki płócienne, wogóle wszystko, co się chorym w lazarecie należy. Przyszedł też doktor do nas

i zbadawszy nas kazał każdemu krew puścić z ręki i dać na posiłek 6 bułek i miseczkę owsianego żuru, później dawano nam krupnik, tj. kaszę jęczmienną gotowaną z mięsem i cebulą, która nam bardzo smakowała.

Trwało to przez kilka dni, tak że niebawem odzyskaliśmy zdrowy wygląd i zaczęliśmy się obawiać, żeby nas nie uznano za zdrowych i nie wzięto do wojska. Kolegę mego już nawet przeniesiono do innej sali, gdzie leżeli zdrowi, odżywiani kisłą, tj. kapustą kiszoną z mięsem gotowaną i komyśniakiem, tj. chlebem razowym. Nie będąc jednak strzeżeni mogliśmy się widywać z sobą, i naradzać nad sposobami ucieczki. Spostrzeżliśmy podczas pobytu w szpitalu rzecz ważną, mogącą nam się przydać przy ucieczce. Na salę, na której leżeliśmy, przeniesiono w dzień po naszym przybyciu pewnego Moskala, którego często odwiedzał pewien wachmistrz kozacki, widocznie dobry jego znajomy. Uważał on zawsze pilnie na zegar na dole, a gdy słyszał bicie godziny, schodził zawsze na dół. Tam zabierał kozaka, stojącego na warcie przed drzwiami, na odwach, a po chwili innego w jego miejsce przysyłał. Przez chwilę więc nie było przed gmachem żadnej straży. Zauważyliśmy to, będąc jeszcze na dole i postanowiliśmy z tego skorzystać.

Umówiliśmy z sobą dzień i godzinę ucieczki, naznaczając ją na 19 marca, dzień mych imienin. Słyszając w nocy bicie zegara, wybijającego umówioną godzinę, wykradliśmy się w ślad za wachmistrzem, schodzącym z luzować wartę i w chwili, gdy on zabrał żołnierza na odwach, zeszlśmy ze schodów, przemknęliśmy się koło drzwi odwachu i uciekliśmy do parku kaliskiego. Tam naradziliśmy się nad tem, co począć z sobą. Umyśliliśmy naprzód przejść przez Prosnę, ale w tym czasie było to niemożliwe, bo woda w rzece była wezbrana i bystro płynęła. Wówczas kolega mój, mający wielu znajomych w Kaliszu i wiedzący jak się do nich dostać pokryjomu, postanowił pójść do miasta, przebrać się i następnie wrócić po mnie, aby mnie wyprowadzić poza miasto. Poszedł więc do miasta, a ja czekałem na jego powrót.

Tymczasem śnieg zaczął padać wilgotny, zimno coraz bardziej zaczynało mi dokuczać, a niepokój o los towarzysza dręczył mnie niemniej niż obawa o własną przyszłość. Gdyby kolegę schwytano, i ja nie miałbym innego wyboru jak powrót do szpitala. Jeżeli spróbuję przejść rzekę, to się utopię, a gdy pójdę przez miasto, to mnie każdy pozna w mym stroju lazaretowym i schwyta.

Z rozmyślań mych wyrwał mnie głos towarzysza, wołającego mnie po imieniu. Zobaczywszy mnie, okrył mnie swym płaszczem i kazał iść za sobą. Podniósłszy kołnierz płaszcza do góry dla zakrycia twarzy i podwi-

nąwszy płaszcz lazaretowy, żeby go nie było widać dołem, poszedłem za nim wzdłuż rzeki koło kościoła św. Józefa.

W mieście spotykaliśmy ludzi nie wielu, bo już było po dziesiątej, a ponieważ było zimno i śnieg padał, to każdy zastaniał oczy, nie zwracając na nas uwagi. Tem baczniej my sami spoglądaliśmy wokół, aby nie zbłądzić i jaknajprędzej wydostać się za miasto. Przeszedłszy przez most na Prośnie, doszliśmy prawie do rogatki.

Tu pożegnałem się z kolegą, udającym się w inną stronę, do Poznańskiego i dałem mu na pamiątkę czerwony woreczek jedwabny, który mi był bardzo drogi. Od tego czasu nie spotkałem się już z zacnym moim kolegą i nie wiem nawet, czy żyje jeszcze, czy już umarł.

Po rozstaniu się z nim, nie chcąc przechodzić przez rogatkę, puściłem się przez ogrody koło fabryki Rephana, a obszedłszy rogatkę wkoło, wróciłem na szosę, idąc w kierunku Opatówka. Jeszcze nieraz musiałem jednak schodzić z szosy, aby wyminąć wozy jadące do miasta. Kilka razy przy takim zbaczaniu w pole wpadłem w rów głęboki, i tam utraciłem swoje pantofle, w których uciekłem z lazaretu. Trzeba było więc iść dalej w skarpetkach, lecz i te krótko potem się podarły, tak że resztę drogi odbywałem boso. Nie było mi jednak zimno, tylko grudki zmarzniętego śniegu uciskały mi bardzo nogi, a wreszcie pokaleczyły je dotkliwie.

Gdy jednak minąłem Opatówek, i za wsią Michałowem dostałem się do boru, było mi już lżej, bo mogłem sobie w boru odpocząć, a przytem śnieg tutaj nie był zmarznięty, więc miękko się po nim chodziło. Trzeba zaś zaznaczyć, że w tym czasie śniegu było na ćwierć łokcia grubości. Ponieważ zaczynało już świtać, a do brata, do którego się wybierałem, były jeszcze 4 mile drogi, nie mogłem już tej nocy zejść do celu, za dnia zaś tylko z największą ostrożnością mogłem się posuwać lasami. Dopiero w nocy, gdy wszyscy już spali, zbliżyłem się do domu brata i zapukałem w to samo okno, w które zapukał żandarm w ową noc, gdy mnie uwięziono. Brat wstał, ale gdy wyszedł przez komorę i zobaczył mnie, bosego, bez spodni, w białym płaszczu lazaretowym i z białą duclenką na głowie którą w tych stronach umarłym dawają, wystraszył się mnie, biorąc mnie za upiora, tem więcej, że nie wiedział, co mnie spotkało po uwięzieniu. Gdym jednak przemówił do niego, prosząc go o litość i opiekę nademną, poznał mnie po głosie, ropląkał się nad mą niedolą i zaprowadził mnie na strych chlewa, gdzie nie było ani siana ani słomy, tylko trochę barłogu, wybieranego z poza drabki, w którą zakłada się siano na noc dla bydła. Nie kazałem mu jednak nic przynosić, tylko spiesźnie wracać do domu, aby się nie wydała moja nowa wizyta. Dopiero rano, gdy brat przyszedł

bydło oprzątać i zasypać mu siewki, przyniósł mi gruszek suszonych, którymi się pożywiłem.

Przez cały dzień przebyłem w chlewie na strychu i nie mało strachu wyżyłem, gdy około południa przyjechali kozacy na podwórze, żądając siana dla koni. Brat mój, przestraszony bardzo, perswaduje im, że siana niema, co zgadzało się zresztą z rzeczywistością, w ciągłej obawie, że zaczną go sami szukać na chlewie gdzie mogą mnie odkryć. Ja, słysząc rozmowy na podwórzu, przelęknęłam się również i posunawszy się w narożnik strychu przy szczycie, wcisnąłem się w sam kąt pod słomiane pokrycie dachu, tak że mnie z daleka nie było można zobaczyć. Ledwo się schowałem, a tu jeden z kozaków wchodzi po drabinie na strych chlewu, rozgląda się, a nie widząc siana i nie dostrzegłszy mnie w mej kryjówce schodzi na dół, poczem niebawem wszyscy odjechali. Uratowany tak szczęśliwie, prosiłem Boga, aby jaknajprędzej noc nadeszła, abym mógł dostać się do boru, wierząc, że tam już nie zginę.

IV.

KRES TUŁACZKI

Skoro tylko noc zapadła, poszedłem zaraz do boru i od tego dnia, tj. od 20 marca, aż do święta Narodzenia M. Boskiej (8 września) 1833 r. nie spałem pod dachem, tylko pod sosną, jodłą lub bukiem w boru.

Początkowo wiedział o mnie tylko brat, który mi co wieczór przynosił suszone gruszki, jako żywność i dopiero kiedy gruszek zaczęło prędko ubywać, a w końcu ich zabrakło, zwróciło to uwagę bratowej, która spytała się brata, gdzie się owe gruszki podziały. Brat nie chcąc skłamać, wyznał jej, że ja je zjadłem. Teraz, gdy i bratowa wiedziała o mojem ukrywaniu się w boru, miałem się lepiej, bo przygotowywała mi ona codziennie kluski z mąki żytniej i maślanek, wstawiając to na strych chlewu, dokąd udawałem się nocą i najadłszy się, wracałem do boru. Czasem dostawałem też kawałek chleba lub ziemniaki w łupinkach i tak żyłem przez 17 tygodni, jedząc tylko raz na dobę, jak młode króliki, które matka odkopuje, nakarmi i znowu zagrzebie w jamie.

W początku, gdy głód mi dokuczył, jadałem różne rzeczy, o których niktby nie przypuścił, że mogą służyć za pokarm człowiekowi. Szukałem np. jabłek leśnych, które pospadywały późną jesienią z drzew i przechowywały się pod liściem przez zimę, lecz mało które tylko z nich było jeszcze zdrowe. Jadłem także czerwone owoce głogu, zwarzone przez mróz, a także owoc róży polnej służył mi za pożywienie. W końcu maja i w czerwcu

żywiłem się często czubkami sosen, świerków lub jodeł, wyrastającymi na wiosnę i zawierającymi mlecz zielony, jadalny, dopóki nie stwardnieje. Ułamawszy więc gałązkę młodą i zdjawszy z niej korę, obłupywałem potem cieniutką warstwę drzewa, kryjącą wewnątrz mlecz, który spożywałem.

Dopiero latem, gdy Pan Bóg dał grzyby i ptaki, a później jagody i maliny, miałem zawsze co jeść, a zwłaszcza jagód dużo się najadłem, bo grzyby były nie zawsze, a ptaki nie łatwo było schwytać, choć i to czasem się udawało.

Razu pewnego znalazłem np. trzy sowy młode tłusciutkie w buku, już wypierzone i zabrałem je z sobą. Nigdy przedtem wprowadzie tych ptaków nie jadłem, bo wyglądają ze łba jak koty, ale w głodzie człowiek nie przebiera. Pourzynałem im więc łby, oskubałem, wypatroszyłem, wypłukałem i nasoliłem i włożyłem w garnek, mieszczący może półtorej kwarty, w którym dawniej także grzyby gotowałem, a który zabrałem z gałęzi traczom, rżącym w lesie drzewo, gdy poszli na noc do domu. Roznieciłem potem ogień przy pomocy stali, krzemienia i hubki, które stale nosiłem z sobą, pociąłem sowy na części, przykryłem garnek kamieniem i ugotowałem je prawie bez wody, bo do pełnego już prawie garnka wiele wody się nie zmieściło. Zjadłszy mięso, zakryłem dobrze ogień, żeby nie pozostawić śladu po sobie, poszedłem do źródła napić się wody, umyłem w niem garnek i schowałem go do swej szafy, którą miałem w buku, spróchniałym przy ziemi. W czasie całego mego pobytu w boru był to najwspanialszy mój obiad.

Posiliwszy się wychodzę z gąszczu na małą drożynę w lesie, a wtem spostrzega mnie chłop jakiś i zaczyna gonić. Ja w nogi, a on za mną, a choć mnie nie dogonił, to jednak przez długi czas nie śmiałem przebywać w tem miejscu, obawiając się, aby mnie znów nie zobaczono.

Jak się później od brata dowiedziałem, szukano wówczas w okolicy koni, ukradzionych poprzedniej nocy, a chłop ów wziął mnie zapewne za złodzieja, widząc zaś, że uciekam, tem zapalczywiej mnie gonił. Innym razem chodzę sobie po lesie, idąc w kierunku miejsca, gdzie — jak wiedziałem — rosły maliny. Wtem spostrzegłem zdaleka ludzi idących przez las łańcuchem, długim może na pół mili, pieszych i konnych. Ponieważ bór nie był gęsty, zobaczono mnie i gdy zacząłem uciekać, puszczono się za mną w pogoń. Co sił pędziłem ku gęstwinie świerkowej, ujranej zdaleka, lecz już mi brakowało tchu i jeden z konnych już mnie nieomal doganiał, w ostatniej chwili jednak udało mi się dopaść świerków i popelznąwszy po ziemi ukryć się w głębi gęstwiny pod gałęziami małego świerka. Ów jeździec nie mógł mnie tu ścigać, boby mu gałęzie oczy wykłuły, za-

nim zaś nadbiegli piesi uczestnicy obławy, pobiegłem odpocząwszy trochę dalej, przenosząc się do innych borów sąsiednich.

Takich jak ja ukrywających się, aby nie wpaść w ręce Moskali, było w owym czasie więcej po lasach, to też Moskale urządzali od czasu do czasu obławy, na które spędzali z kilku wsi pobliskich pieszych i jezdnych. Nieraz kryjąc się przed taką obławą wchodziłem na wysoką jodłę, rosnącą w gąszczu, a że w gęstwinie niebardzo im się chciało szukać, więc mnie nie schwytano.

Pewnego razu wybrałem się do wsi, w której pracowałem ongiś przy kopaniu żwiru dla szosy, aby odebrać kilka złotych, które mi się należały jeszcze za mą pracę. Umówiłem się z bratem, że odchodząc na pewien czas zostawię mu znak na chlewie, a nowy znak zrobię w nocy po powrocie, aby ponownie przygotował mi posiłek na strychu, wybrałem się nocą do wsi, gdzie mieszkali owi robotnicy. Nie zdążywszy dojść do świtu, zostałem przez dzień w boru, a na drugą noc poszedłem dalej. Dochodziłem już do wsi, wtem usłyszałem dolatującą mnie z drogi rozmowę wojskowych rosyjskich, musiałem się więc wrócić, aby mnie nie poznano po krótko ostrzyżonych włosach i wołoszce białej, przerobionej przez bratową z płaszcza lazaretowego. Żałowałem wprawdzie, że nie mogłem zobaczyć się ze znajomymi, bo byłbym się u nich pożywił i otrzymał należne mi pieniądze, ale wolałem nie narażać się na ponowne uwięzienie. Dopiero w trzecią noc wróciłem do mieszkania brata i zostawiłem mu znak na chlewie, aby mi przygotował pożywienie.

Nad ranem zaczął padać deszcz ulewny, tak, że przemokłem cały, nie mając się gdzie schronić. Upatrzyłem sobie wkońcu świerk gruby, zapewne za młodu złamany, który jednak wyprostował się znowu i rósł ku górze, pod nim więc usiadłem, mając przynajmniej tę korzyść, że mi nie ciekło po głowie, tylko po ramionach.

Głód mi też ogromnie dokuczał, bom już trzeci dzień nic w ustach nie miał, ciało całe zziębło i zsiniało, tak że zacząłem obawiać się o swe życie. Wtem zobaczyłem jednak brata, który szukał mnie po boru, a zobaczywszy z daleka nieruchomego, skurzonego pod drzewem, myślał, że już nieżywy. Kiwnąłem na niego ręką, a on z płaczem przybiegł do mnie, wyjmując ziemniaki z kieszeni i podając mi je. O, ja rozplakałem się nad swym losem i zacząłem jeść ziemniaki z łupiną, nie obierając ich wcale, bo taki byłem głodny, że i łupinę szkoda mi było wyrzucać. Brat, widząc mą nędzę, mówi do mnie: „Idź ty lepiej i wydaj się Moskalom, a nie tułaj się dłużej. Toć oni tyle naszych ludzi zabrali w żołdaty, a żyją, to i ty tam nie zginiesz”. Lecz ja mu na to „Wolę tu umierać z głodu, a ty mnie tu gdzie pochowasz, ale do Moskali nie pójde, bom sobie zbrzydził ich

nędzne życie, widząc w czasie powstania, jak wyglądali jeńcy moskiewscy przez nas w niewolę zabrani, brudni i zawszawieni w niemożliwy sposób. Przytem gdyby mnie wywieziono, jak innych, nad czerkieską granicę, tobym z pewnością już nie wrócił do kraju. Nie doradzaj mi więc, bracie, wydania się w ręce Moskali. Na Narodzenie Matki Boskiej wybiorę się do Częstochowy, a może uda mi się z jaką pielgrzymką przejść przez granicę". I tak też uczyniłem. Gdy nadszedł czas, wystarałem się za pośrednictwem brata o ubranie sukienne, które sprawiłem sobie w czasie pracy w fabryce na krótko przed wybuchem powstania, uszyto mi też sakwy, jakie noszą pątnicy i zabrawszy trochę żywności na drogę, poszedłem do Częstochowy.

V.

UCIECZKA ZA KORDON I DALSZE LOSY

Przyszedłszy do Częstochowy i zmieszawszy się z wielkim tłumem pielgrzymów, przybyłych ze wszystkich stron Polski, nie potrzebowałem już obawiać się schwywania, tem więcej, że zarząd lazaretu kaliskiego, jak się dowiedziałem niedawno, taił fakt mej ucieczki, aby nie narazić się na karę za brak dozoru i zaraportował do władzy przełożonej, że umarłem. Nie wysłano więc listów gończych za mną i nie bałem się, że będą mię tu poszukiwali. Chodziło mi tylko o to, jakby się przedostać przez kordon do zaboru pruskiego lub austriackiego. Radziłem się w tej sprawie ludzi, poznanych w Częstochowie, wzbudzających zaufanie, nikt jednak nie umiał mi poradzić.

Tymczasem mijał już trzeci dzień pobytu mego w mieście, gdzie nie mogłem pozostać na stałe, a z drugiej strony zaś nie chciałem też wracać do stron rodzinnych i narzucać się bratu, który dosyć już miał kłopotu ze mną i był zapewne rad, że się mnie pozbył. Mogłem wprawdzie poszukać sobie innej kryjówki w lesie, ale zimą po śladach na śniegu łatwoby mnie odkryto i schwymano. Rozpłakałem się w tem przykrem położeniu sam nad sobą i poszedłszy raz jeszcze do kaplicy Matki Boskiej, padłem krzyżem i serdecznie modliłem się, prosząc Matkę Boską o litość nademną i pomoc w mych zamiarach.

Ledwo wyszedłem z klasztoru, ujrzałem gromadkę ludzi w sukmanach krakowskich i z tłumoczkami w ręku.

Zbliżyłem się więc do nich i zapytałem, skąd pochodzą.

Odpowiedzieli mi: „Z wolnego kraju” (t. zn. z Wolnego miasta Krakowa).

Mówię im tedy: „Z wolnego kraju? A z której wioski?”

— Z Jaworzna.

— Z Jaworzna?

— Możebyście chcieli iść z nami, bo może macie tam jakiego przyjaciela lub krewnego?

— A tak, mam, a jużemy się dawno nie widzieli.

— A może to ten krawiec, co tam mieszka, co był w powstaniu?

— Tak, to mój brat. Czy mogę się zabrać z wami?

— Tak, możecie.

— A kiedy wracacie?

— Zaraz odchodzimy, czekamy tylko, aż się wszyscy pochodzą.

— To, proszę, poczekajcie na mnie, pójdę tylko do swej kwatery po tłumoczek, który tam został.

Po chwili wróciłem, a że i oni już się zebrali wszyscy, wyruszyliśmy w drogę.

Podczas drogi szukałem wśród towarzyszy jakiego poczciwego człowieka, któremu mógłbym się zwierzyć, w jakim jestem położeniu i jaki mam zamiar. Upatrzywszy sobie jednego pątnika, nazwiskiem Mateusz Brożek, powiedziałem mu wszystko, radząc się go, jakby tu bez paszportu przejść przez kordon graniczny. Powiada on mi tak: „Jest rada. Z Jaworzna wyszła nas duża kompanja, ale przeszedłszy komorę w Niwkach podzieliliśmy się na dwie części. Jedna poszła przez Gidle, gdzie jest cudowny obraz Matki Boskiej, a my szliśmy prosto do Częstochowy. My tu mamy paszporty z nazwiskami wielu osób nieobecnych, które są w drugiej części kompanji, między innymi jest tu paszport Ignacego Raczka. Gdy więc będą na granicy czytali jego nazwisko, odezwijcie się za niego i przejdziecie spokojnie”.

Pomyślałem sobie, że jest to pomysł szczęśliwy i z wdzięczności uściśnąłem rękę poczciwemu człowiekowi.

Gdy przyszliliśmy na komorę i oddaliśmy paszporty, wyszedł naczelnik i zaczął czytać nazwiska nasze. Gdy przyszła kolej na Ignacego Raczka, odezwałem się: „Jestem” i przeszedłem do grupy odczytanych. Już uważałem się za uratowanego, niestety naczelnik, zauważywszy wiele paszportów osób nieobecnych, należących do pątników z drugiej części kompanji, rozgniewał się i powiada: „Wy gałgany, włóczyście się po kraju i przeprowadzacie ludzi, uciekających przed wojskiem. Kto wie, może i teraz macie kogo wśród siebie, na którego rząd nagrodę wyznaczył? Nie puszczę was prędzej, aż przyjdzie reszta waszej kompanji”.

Powiedziawszy to, odszedł. Zaczęli wówczas pątnicy naradzać się między sobą, wyrażając obawę o mój los. Słyszając o co im chodzi, zbliżyłem się do nich i mówię: „Nie kłopotcie się o mnie, ja już sobie dam radę”. Następnie zwróciłem się do owego pątnika, który mi poprzednio

poradził podszyc się pod nazwisko Raczka, i zapytałem go, w którą stronę zwróciliby się po przejściu kordonu, chcąc iść do Jaworzna. W odpowiedzi wskazał mi on karczmę pod borem, przy której stał kozak na straży, mówiąc, że droga tamtędy wypada. Usłyszawszy to, oddałem mu swe sakwy, prosząc go o zabranie ich, i powiedziałem mu, że postanowiłem ich opuścić, aby nie mieli nieprzyjemności z mego powodu.

Poszedłem następnie kawałek wzdłuż drogi, którą mieli wracać, przeszedłem ostrożnie przez płot i położyłem się w cieniu pod gruszą jolną, udając, jak gdybym był mieszkańcem tych stron i czekał na kogoś. Myślałem sobie, że pątnicy będą może prosić naczelnika, to się zlituje i przepuści ich, ale długo czekałem napróżno. Wreszcie widzę zbliżającą się kompanję z dwiema chorągwiemi, ale nie tę, z którą przybyłem z Częstochowy. Wstaję więc, doganiam ich i pochwaliwszy Pana Boga, pytam: „Skąd jesteście?”

— Z wolnego kraju — odpowiadają mi pątnicy.

— A z której wsi?

— Z Lipowic.

Usłyszawszy to, mijam ich, i udając mieszkańca tych stron, idę śmiało do karczmy, przy której znajdował się most i posterunek kozacki, a która była już niedaleko stąd. Wstępuję do karczmy, kupuję bułek i czekam, aby wyjść, gdy zbliży się kompanja, i dołączyć się do nich. Gdy nadeszli, oddali kozakowi przepustkę od naczelnika i przeszli przez most na obszar Wolnego Miasta Krakowa. Gdyśmy uszli już kilka staj od granicy, pytam się ludzi: „Czyśmy już w wolnym kraju?”

— A tak — odpowiadają mi.

— Dzięki Panu Bogu, jestem uratowany! A czy owa kompanja z Jaworzna jeszcze tam czeka? — zapytałem ich.

— Nie, oni poszli na pruską stronę i przez Mysłowice wrócą do domu, bo tam nie robią takich trudności.

Poczcivi ludziska, dowiedziawszy się o mych przygodach, życzliwie się mną zajęli i zebrali składkę dla mnie, dając po kilka groszy od osoby, co wyniosło w sumie kilka złotych. Jeszcze większa radość była, gdyśmy się spotkali w Jaworznie z kompanją z tego miasta, z którą przybyłem do granicy, bo kompanja z Lipowic musiała przez Jaworzno przechodzić. Wszyscy cieszyli się, że tak szczęśliwie granicę przeszedł, a ja dziękowałem Najświętszej Panience, bo z pewnością Jej pomocy zawdzięczam swe ocalenie.

W Jaworznie znalazłem pracę u szewca, a po pewnym czasie razem z nim przeniosłem się na Górny Śląsk, do Chorzowa, otrzymawszy papiery na nazwisko Józefa Jelonka, dawnego czeladnika mego majstra. Po roku

majster mój wrócił do Jaworzna, a ja przeniosłem się do Królewskiej Huty, gdzie dostałem się do porządnego majstra i po raz pierwszy spałem znów w pościeli od chwili ucieczki mej z lazaretu kaliskiego, u poprzedniego majstra bowiem sypiałem na ławie na sienniku, przykrywając się płaszczem własnym, co i tak było wygodniejsze niż wielomiesięczne noclegi moje w boru. Po roku niestety zostałem zwolniony z pracy, bo był to rok nieurodzaju i zamówień było mało, a chcąc żyć, musiałem chwycić się przemytnictwa, przenosząc cukier, tytoń i inne towary z obszaru Wolnego Miasta Krakowa na Górny Śląsk. Po roku rzuciłem jednak ten niebezpieczny proceder i wróciłem do Jaworzna, gdzie uzyskałem pracę u szewca Mateusza Brozka, wspomnianego powyżej.

Po kilkunastu tygodniach zdarzył się w Krakowie wypadek zabójstwa politycznego, który wpłynął także na moje dalsze losy. Zabito mianowicie szpiega rosyjskiego, który śledził emigrację polską i którego wywieziono za miasto, przyczepiwszy mu do ciała kartkę z kory brzozy z napisem: Kradnij i zbijaj, tylko Kraków mijaj. Wypadek ten spowodował interwencję trzech mocarstw rozbiorowych, rewizję w mieście i nakaz wydalenia z Wolnego Miasta wszystkich osób, nieurodzonych na jego obszarze. Wszystkie te osoby miały się zebrać w Podgórzu, przedmieściu Krakowa, które wówczas należało już do Austrii, a stamtąd każdy miał być odstawiony do miejsca urodzenia.

Widząc na co się zanosi, poprosiłem gospodarza mego, aby mnie ukrył, a po dziewięciu dniach przekradłem się przez granicę niemiecką na Górny Śląsk, gdzie znowu przyjąłem pracę w Chorzowie. Tam uzyskałem po rocznym pobycie świadectwo z gminy, które mi ułatwiło później uzyskanie pracy w innych miejscowościach.

Od czasu opuszczenia Kongresówki myślałem ciągle o sposobie skomunikowania się z rodziną. Bałem się powierzać list pocztę, aby nie wpadł w ręce Moskali, ale nadarzyła się niebawem sposobność przesłania listu przez zaufanego człowieka.

W dzień Narodzenia Matki Boskiej odbywała się w Siemianowicach uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod wielką lejarnię żelaza hr. Hankel-Donnersmarcka, połączona z wielką zabawą. Na uroczystość tę przybyło też dużo ludzi z poza kordonu, przede wszystkim z sąsiedniego miasteczka Czeladzi. M. i. poznałem tam pewnego ślusarza, rodem z Warty, a więc z moich stron rodzinnych i dałem mu list do matki, w którym doniosłem jej, że za rok w uroczystość Narodzenia M. B. będę w Częstochowie i pragnę się tam z nią zobaczyć.

Bawiąc w rok potem w Częstochowie, spotkałem się tam z ukochaną matką moją po kilkoletnim niewidzeniu się z nią i otrzymałem na poże-

gnanie błogosławieństwo jej w tych słowach: „Nie dam ci nic, mój synu, bo sama nic nie mam, ale niech ci Bóg błogosławi, bo może cię już więcej nie zobaczę”.

Tak się też stało niestety, bo gdy za kilka lat zbliżyłem się do stron rodzinnych, to matka już nie żyła. Chcąc być bliżej Opatówka, przyjąłem po pewnym czasie pracę w Koszęcinie na Górnym Śląsku.

Uzyskawszy w Lublińcu paszport, wybrałem się do Kongresówki, ale wróciłem się z Wielunia, ponieważ wzbudziłem podejrzenie w gospodzie jednej i obawiałem się, że się wyda, kim jestem i zostanę aresztowany. Pracowałem potem przez 6 tygodni w Wrocławiu, następnie w Miliczu, wreszcie w Grabowie, w Wielkopolsce, dokąd się wybrałem na jarmark świętomichalski, na który przybywało dużo osób z poza kordonu, bo spodziewałem się spotkać kogoś znajomego z mej wsi rodzinnej. Przybyłem niestety zapóźno, gdy się już ludzie rozchodzili do domu, ale przyjąłem pracę w okolicy, w młynie podgórskim pod Kakawą nad Prosną, aby łatwiej zobaczyć się ze swoimi. Zobaczyłem się też niebawem z bratem, który przybył, gdy mu doniosłem o miejscu swego pobytu i od niego dowiedziałem się, że matka już nie żyje. Przeniósłem się potem do Ostrowa i tu już zostałem na stałe. Założyłem własny warsztat, ożeniłem się w 33 roku życia i doczekałem się ośmiorga dzieci, którym zapewniłem wykształcenie i chleb, dorobiwszy się uczciwą pracą.

Z przygód swych wyniosłem głębokie przekonanie, że niema takiego położenia, z którego przy szczerym wysiłku i pomocy Bożej nie możnaby wybrnąć.

106
Biblioteka Instytutu
Historii UAM

Fc 213



020-000213-00-0